Środa Nr. 22. 28. grudnia 1870.

KURYER TEATRALNY LWOWSKI.

Wychodzi w dnie przedstawień polskich. Cena egzemplarza 4 cnt. Przedpłata wynosi rocznie 4 złr., półroczuie 2 złr. kwartalnie 1 złr., miesięcznie 35 céntów.

Przedpłatę przyjmuje każdego dnia Kasa teatru polskiego w gmachu teatralnym — rano od 10 do 12, po południu od 3 do 5tej.

Porwanie pięknej Heleny.

(Z pamiętników byłego autora prowincjonalnego.)

(Ciąg dalszy)

Doświadczenie uczy, że dyletanci w sztuce lekarskiej — których jak wiadomo istnieje liczba niezliczona, doradzają każdemu pacjentowi tych leków, których sami najchętniej używają. Możnaby napisać bardzo zabawną rozprawę o dodatkowych cierpieniach, jakie z tej strony znosić musi każdy, kto chodzi po mieście z jakiem i tak już dokuczliwem fizycznem cierpieniem. I tak, masz, dajmy na to, migrenę, ale interesa nie pozwalają ci położyć się i przespać czas aż do zachodu słońca, kiedy zwykle migrena ustaje. Spotkasz znajomych i mimowoli skarżysz się na ból nieznośny. Idę o zakład, że na dziesięciu, znajdziesz sześciu, którzy ci każą napić się wódki, i ani jeden się nie domyśli, że człowiekowi cierpiącemu migrenę, samo wspomnienie podobnej kuracji staje się męczarnią. Siódmy każe ci znowu przełknąć kieliszek starego wina, dreszcz cię przebiega na tę myśl, idziesz dalej, i oto ósmy radzi ci przejść się po świeżem powietrzu. Barbarzyńca, ani mu w głowie, że potrzebujesz raczej pokoju ze spuszczonemi firankami, poduszki i spoczynku! Dziewiąty, jeszcze bardziej wyrafinowany w okrucieństwie, jest hidropatą i każe ci zlewać się zimną wodą, przykładać zimną wodę, pić zimną wodę, Bóg nie wie co robić z zimną wodą — a dziesiąty najniewątpliwiej poszle cię do łaźni parowej — słowem, wszyscy ci ludzie znają się może na dziesięciu różnych rodzajach bolów głowy, ale ani jeden z nich nie miał nigdy migreny, nie ma o niej wyobrażenia, i irytuje cię tylko swojemi radami, potęgując tem samem ból ile możności. Dodać do tego wypada, że prawie każdy z niepowołanych lekarzy, udzielając ci swojej rady, pali cygaro albo nieznośnie śmierdzące, albo zabijające cię silnym aromatem, którego przy migrenie nie możesz znieść, choćbyś był sam największym wielbicielem dobrego hawańskiego liścia.

Cierpię przypadkiem migrenę, i z jednej strony zazdroszcząc losu wielu naszym politykom, redaktorom, literatom i humorystom, których ta nieznośna choroba głowy trapić nie może, dla braku przedmiotu, nad którymby się znęcać miała — z drugiej strony tyle mi nadokuczano opacznemi radami dyletancko-lekarskiemi, że sam zapytany o radę w jakiej sprawie, bywam zawsze skrupulatnym i uważam, by zamiast przynieść ulgę cierpiącemu, nie sprawić mu boleści. Zamyśliłem się tedy głęboko, gdy mię p. Jacenty z wyrazem niekłamanej rozpaczy w oczach i głosie błagał, bym mu poradził co ma począć z p. Modliborskim, który chce oddać córkę do klasztoru, i z tą córką, która chce iść do klasztoru.

— Jak to, zapytałem, to twoja panna także czuje w sobie to świątobliwe powołanie — wszakże mówiłeś mi, że cię kocha?

— Ach, ona mi to sama mówiła, drogi przyjacielu, mówiła mi to nie raz, ale dziesięć razy — na ławeczce pod krzakiem bzu, w ogrodzie swojej ciotki i na kanapce pod oknem w bawialnym pokoju, gdy obydwie sędziwe matrony drzemały po herbatce, nim dały sygnał, że czas iść spać na dobre. Jestem nawet pewny, że mię kocha — ale niestety, już mi tego powiedzieć nie może, ani na ławeczce, ani na kanapie. W Modliborach klauzura jest tak ostra, że bez pozwolenia p. Modliborskiego, mucha tam nie przeleci i nie usiądzie na zakazanem miejscu. Dwór stoi od-

osobniony, jak reduta z terenem naokoło uprzątniętym dla łatwiejszego ostrzelania przystępu. Na jednym rogu jest wieża drewniana, na której szczycie p. Modliborski ma obserwatorium i śledzi cały dzień prze perspektywę, ażeby się nic *niemoralnego* nie stało, nie tylko w jego własnej rodzinie, ale nawet w rodzinach wszystkich jego poddanych. Nieraz już wydarzyło się, że młodzież wiejska u mandatarjusza odbierała plagi za figle, popełnione o pół mili od Modlibor — przeklęta perspektywa zdradziła wszystko p. Modliborskiemu. W nocy zamykają się szczelnie wszystkie okiennice, cztery brytany strzegą czterech frontów reduty, warty stoją u bramy, obchodzą całą okolicę, a na domiar, p. Modliborski sam dwa razy w lecie a cztery razy w zimie, bo wtenczas noc dłuższa, wstaje, i z latarnią w ręku przekonywa się, czy wszystko jest w porządku w jego domu, — ba, idzie nawet na wieś, i przestrzega moralności w każdej chacie...

— Ależ na miłość Boga, w tem nie ma przecież nic niemoralnego, że ty się chcesz ożenić z jego córką. Wszak między sakramentem małżeństwa a figlami, do których wytropienia i skarcenia służy moralna perspektywa p. Modliborskiego, różnica jest niezmierna! Ale zastanawiając się nad tym projektem oddania panny Heleny do klasztoru, wpadam na myśl, że twój przyszły zięć musi być okropnym bigotem?

P. Jacenty wytrzeszczył na mnie oczy — w obcych wyrazach bowiem był nieborak tak mało biegłym, jak nasz nieborak *Szczutek*. Wiedział, co znaczy *bigos*, ale o *bigotach* nie miał pojęcia — zupełnie jak nasz humorysta lwowski, który otrzymawszy od pewnego poety wiersz, zawierający wzmiankę o Godfrydzie de Bouillon, żądał później w traktyjerni pod Trzema Koronami *godfryda z bulionem* i nie dostawszy go, poróżnił się ze swoim współpracownikiem, bo obwiniał go, że go wywiódł w pole, prawiąc o potrawie, której istnienie jest zupełnie idealnem — a *Szczutek* wierzy tylko w idealne c n o t y, od p o t r a w zaś wymaga przymiotów realnych. Wytłómaczyłem na prędce p. Jacentemu, co znaczy ›bigot‹, i w czem się różni od ›bigosu‹ (żałuję, że dla braku miejsca nie mogę podobnej przysługi wyświadczyć *Szczutkowi*) i pokazało się, że domysł mój był trafnym. P. Modliborski modlił się, pościł, biczował się od rana do wieczora, prezentę na probostwo w Modliborach dał jakiemuś ojcu jezuicie, który się tam sprowadził jeszcze z trzema innymi i założył natychmiast mały nowicjat tercjarek, jednem słowem, z Modlibor osobna brama prowadziła do nieba i zbawienie dusz było tam na tak dobrej drodze, jak zbawienie ojczyzny w śp. klubie rezolucjonistów.

To tłumaczyło mi po części, dla czego p. Jacenty dostał kosza, i dla czego panna Helena miała iść do klasztoru — ale tylko po części, jak mówię. Nie wierzę w bigotów tak zawziętych, by z bigoterji chcieli żywcem grzebać własne dzieci; potrzeba ażeby byli jeszcze także i idiotami, nietylko bigotami.

— Proszę cię mój Jacenty — odezwałem się, jak też sądzisz, czy ten p. Modliborski, nie mówiąc już nic o twoim interesie, ale tak w ogólności... czy ma on rozum, czy myślisz raczej, że jest bitym w ciemię?

— O nie... jest to zawołany procesowicz i jurysta jakich mało. W całym *cyrkule* mówią, że nie ma lepszej głowy od niego.

— To mi zaczyna być bardzo podejrzanem, mój kochany. Bigoci z tęgiemi głowami są wszyscy Tartuffami.

Jacenty znowu wytrzeszczył na mnie oczy. Poczciwe chłopczysko, ale w rozmowie z nim potrzeba było wystrzegać się wszystkiego, o czem ludzie dowiadują się dopiero z książek, bo inaczej siedział jak na tureckiem kazaniu. Wyraziłem się tedy jaśniej, zamiast ›Tartuffami‹, powiedziałem ›hipokrytami‹.

— O tak, Hipokratami! wzdychał mój biedny Jacek, i chodził po pokoju, dumając o swojej Helenie. Ja tymczasem układałem w głowie plan, jak go wybawić z kłopotu. (C. d. n.)

Debiut panny Kwiatyńskiej w Warszawie.

(Dokończenie.)

„Ta pewność w akcji i automatyczna prawie ścisłość w gestach, są podług nas jedyną dziś wadą w młodej, początkującej aktorce. Gdybyśmy znali bliżej stopień

umysłowego ukształcenia p. Kwiatyńskiej, gdybyśmy pewni byli że posiada ona w duszy święty ogień sztuki i że idąc tak niewolniczo nawet, za instrukcją nauczyciela—z czasem przebije się wyżej własnych sił polotem, a z nauki zatrzyma tylko mechanizm, nieodzowny do ułatwienia sobie pewnych „danych“ w akcji lub mimice, które są jakby częścią kostjumu dla dramatycznej aktorki— to powiedzielibyśmy że ta dzisiejsza pewność siebie i zimna jakoby refleksja, staną się tylko szczeblami po których młoda artystka szybciej na wyżynę sztuki się wedrze. Lecz tego wszystkiego, nie jesteśmy pewni a obawiamy się aby, w przeciwnym razie, z debiutantki, tak świetnemi zaopatrzonej darami — nie wytworzyła się chłodna rutynistka, nie zdolna rozpłonąć ogniem inspiracji, ani własnym, szczerym zapałem porwać za sobą widzów. Bo na tej wspaniałej, serjo dramatycznej drodze, nie wolno kroku postąpić z nadzieją dojścia do celu, bez wielkich zasobów w duszy, bez serca zdolnego do silnych i wzniosłych uczuć. Znakomita artystka, mająca przedstawiać Juljettą czy Ofelję, Rozamundę czy Fedrę, Amalję czy Małgorzatę, Marję Stuart czy Drahomirę, musi stać pojęciem na wysokości tych postaci, musi znać ich dzieje i dzieje społeczeństw w których takie postacie żyły lub żyć mogły. Można, przy miernych zasobach intellektualnych, być doskonałą aktorką naiwną, lecz artystka tragiczna i przedstawicielka dramatu, musi bezwarunkowo być ukształconą kobietą. Wolno jej skorzystać z rad nauczyciela, przy przy początku swej drogi, wolno nauczyć się gestów i sposobów skutecznych do zapełniania grą scen niemych—lecz musi sama o własnych tylko siłach, wznieść się w świat heroiczny, w którym żyją przedstawiane przez nią kreacje—musi sama poznać całą literaturę dramatyczną i świetry ogień wrodzonego natchnienia zapalać tylko na szczytach zdobytych wiedzą i głębszemi studjami. W tej chwili, nie wiemy nic jeszcze, jaka przyszłość czeka pannę Kwiatyńską na scenie — widzieliśmy tylko, że ma ona z rąk szczodrej natury wszystko co może ułatwić drogę w obranym zawodzie. Po zobaczeniu jej w „Pannie de Belle Isle“ już więcej daleko się dowiemy — na teraz przeto, zaznaczymy tylko ważność jej pierwszego debiutu, notabene, bez względu na zbyt rzęsiste oklaski i zbyt rącze przywoływania, jakiemi szafuje u nas pewna część publiczności, zawsze grzeczna dla młodych i powabnych debiutantek.“

Z Warszawy piszą. „Zimna pora nie przeszkadza publiczności zagrzewać się przy ogniu sztuk nadobnych. Dowodem tego sala wielkiego teatru, w której obecnie gromadzi się tak wielu amatorów włoskiej metody śpiewu na rzedstawieniach „Afrykanki“. Druga, wczorajsza reprezentacja tej potężnej, choć i przepotężnie długiej partycji, odbyła się nader świetnie, a troje pierwszorzędnych artystów trupy p. Ciafei'ego, jako to: pani Vizjak, oraz pp. Bollis i Storti, i wczoraj także zyskało jak najpochlebniejszego od publiczności przyjęcia. Za to jednakże do sali Rozmaitości, świeżo przybyła tu na stały już pobyt, panna Romana Popiel, nie sprowadza natłoku widzów, którzy raz tylko, podczas pierwszego jej wystąpienia, zgromadzili się licznie. Pochodzi to może z przyczyny złego wyboru sztuki, a może i z tego fatalistycznego - względu że ta zdolna artystka weszła już w skład stałego personelu tutejszej sceny. Taka to już natura ludzka! Mieszkańcy Genewy lub Chamounix obojętnie spoglądają na szczyty „Góry Białej“ wznoszące ku niebu swoje śnieżne, opromienione słońcem szczyty, bo pewni są, że w każdym dniu pogodnym, widok ten ich czeka... Wprawdzie, niewłaściwem jest może porównanie młodej i powabnej aktorki do „Góry białej“, gdyż ona ani tak lodowatą, ani tak często zachmurzoną zapewnie nie bywa, a dotąd jeszcze i tak aż szczytną nie jest, lecz w tej mimowolnej komparacji leży jednak pewna ogólna prawda dla wszystkich gór białych i dla całej publiczności na całym globie. Wszystko co już posiadamy, przestaje nas zajmować żywo, oprócz.. gotówki której nieustanna obecność zawsze i każdemu jest pożądaną.

„Wkroczywszy już w dziedzinę wyżyn teatralnych, donosimy czytelnikom naszym, wśród których niewątpliwie znajduje się mnóstwo wielbicieli talentu pani Modrzejewskiej, że ta znakomita artystka przyszła już całkiem do zdrowia, choć może wszystkich sił nie odzyskała jeszcze Podobno pani M. już w początkach stycznia r. p. ukaże się na tej tak wdzięcznej dla niej, warszawskiej scenie, a o ile nam wiadomo uczyni to w nowej sztuce p. t. „Fru-Fru“, która na jej wyzdrowienie tak cierpliwie czekała!

„Znany tu z przedstawień cyrkowych, akrobatycznych i t. p. w budynku teatru Rappo, p Schyndler, skutkiem strat poniesionych w koniach i nieprzewidzianych wypadków, został stradowany przez wierzycieli i pozostał z rodziną bez żadnego do życia sposobu. Nieszczęśliwy ten człowiek nie może pracować w swoim fachu, będąc pozbawiony wszystkiego i literalnie nie ma czem wyżywić rodziny.

Wydawca i Redaktor odpowiedzialny **Juliusz Stanko**.

Z drukarni E. Winiarza.

Abonamentu 5. Nr. 69. Nr. 5.

W ces. król. uprz. teatrze hr. Skarbka we Lwowie

w Środę dnia 28. Grudnia 1870 roku

POCZWARKA

Dramat w pięciu aktach przerobiony z powieści pani Sand przez Karolinę Birch-Pfeiffer.

Osoby:

Ojciec Barbeaud	— — — —	P. Hubert.
Matka Barbeaud	— — — —	Pna Zalewska.
Landry	bliźniaki, synowie Barbeaud — — —	P. Szymański.
Didier		P. Wolański.
Martineau	— — — —	P. Koncewicz.
Etienne	młodzi wieśniacy — — — —	P. Mikulski.
Collin		P. Bąkowki.
Pierre		P. Wojnowski.
Matka Fadet	— — — —	Pni Hubertowa.
Fanchon Vivieux	— — — —	Pna Dering.
Ojciec Caillard	— — — —	P. Galasiewicz.
Madelon, jego córka	— — — —	Pna Rakowska.
Susetta	wieśniaczki — — — —	Pna Wojnowska.
Anetta		Pna Kwiatkowska.
Marietta		Pna Sułkowska.
Manon, stara wieśniaczka	— — — —	Pna Urbańska,

Chłopcy, dziewczęta. — Rzecz dzieje się na wsi.

Ceny miejsc zwyczajne.

Początek o godzinie 7.